

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



**Pestki,
korale
-słowa do
nawlekania**

Zbigniew Joachimiak

**Pestki,
korale
-słowa do
nawlekania**



INSTYTUT WYDAWNICZY "ŚWIADECTWO"
BYGOSZCZ 1998

Redakcja: Jerzy Suchanek

Projekt okładki i redakcja techniczna: Dariusz Szmidt

Autor fotografii: Daniel Koralewski

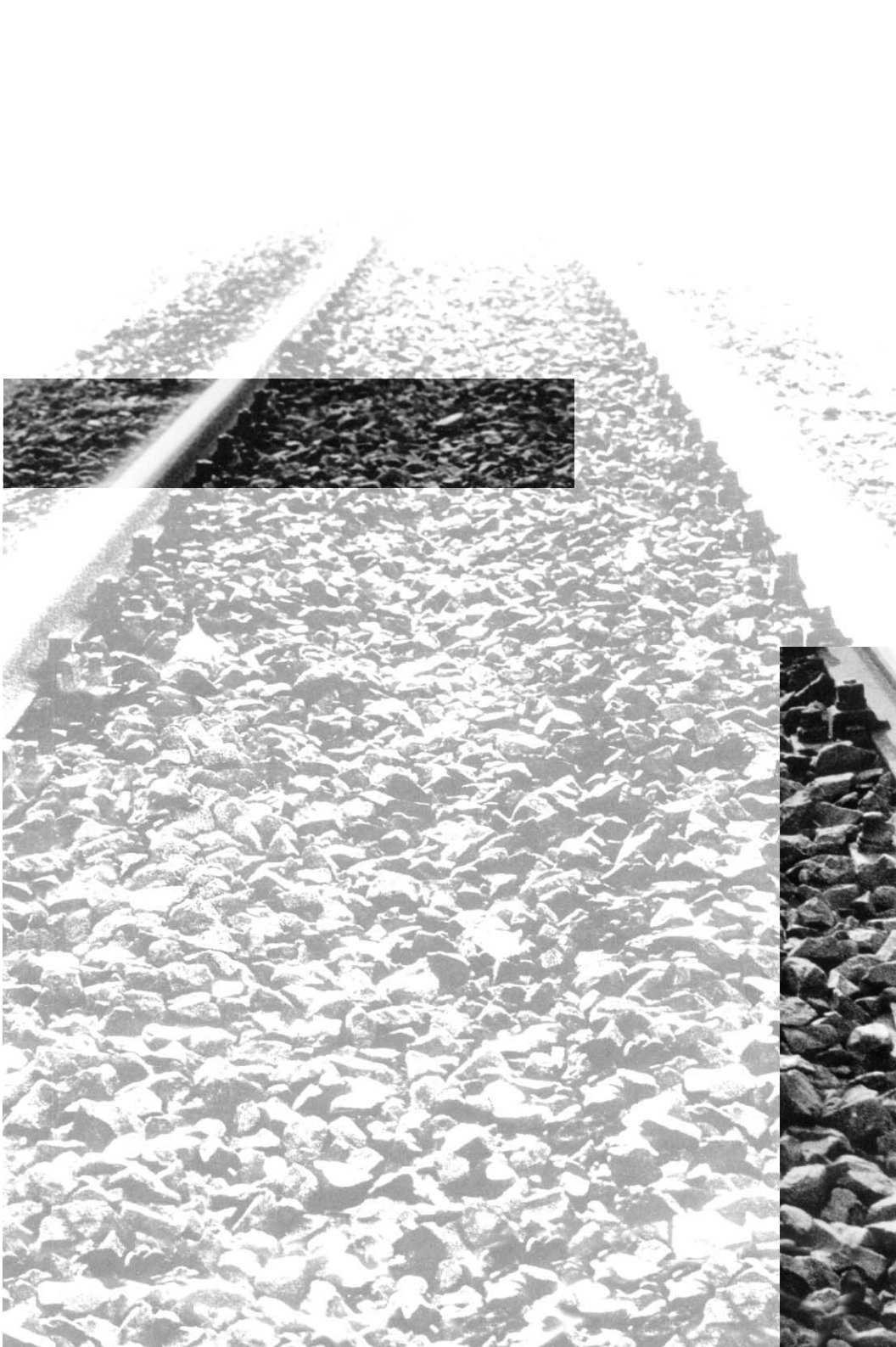
© Copyright by Zbigniew Joachimiak Bydgoszcz 1998

INSTYTUT WYDAWNICZY "ŚWIADECTWO"
ul. 20 stycznia 17/11, 85-081 Bydgoszcz, tel. 21-03-68.

FILIA W GLIWICACH
ul. Barlickiego 19/7, 44-100 Gliwice, tel. 31-56-59.

Druk: Drukarnia Intrap s.c. Piotr Raniewicz Radosław Jaszewski.
Wydawca dziękuje za szczególnie życzliwe potraktowanie tej
książki.

ISBN 83-85860-08-8



Nasze dzieci

Rebecce i małej Danieli

Są samotne od pierwszego oddechu.
Nie krzyczą z bólu, lecz ze strachu.
Próbują się czegoś uczepić,
znaleźć stały punkt.
Zaciskają z całych sił piąstki,
lecz chwytają tylko powietrze.

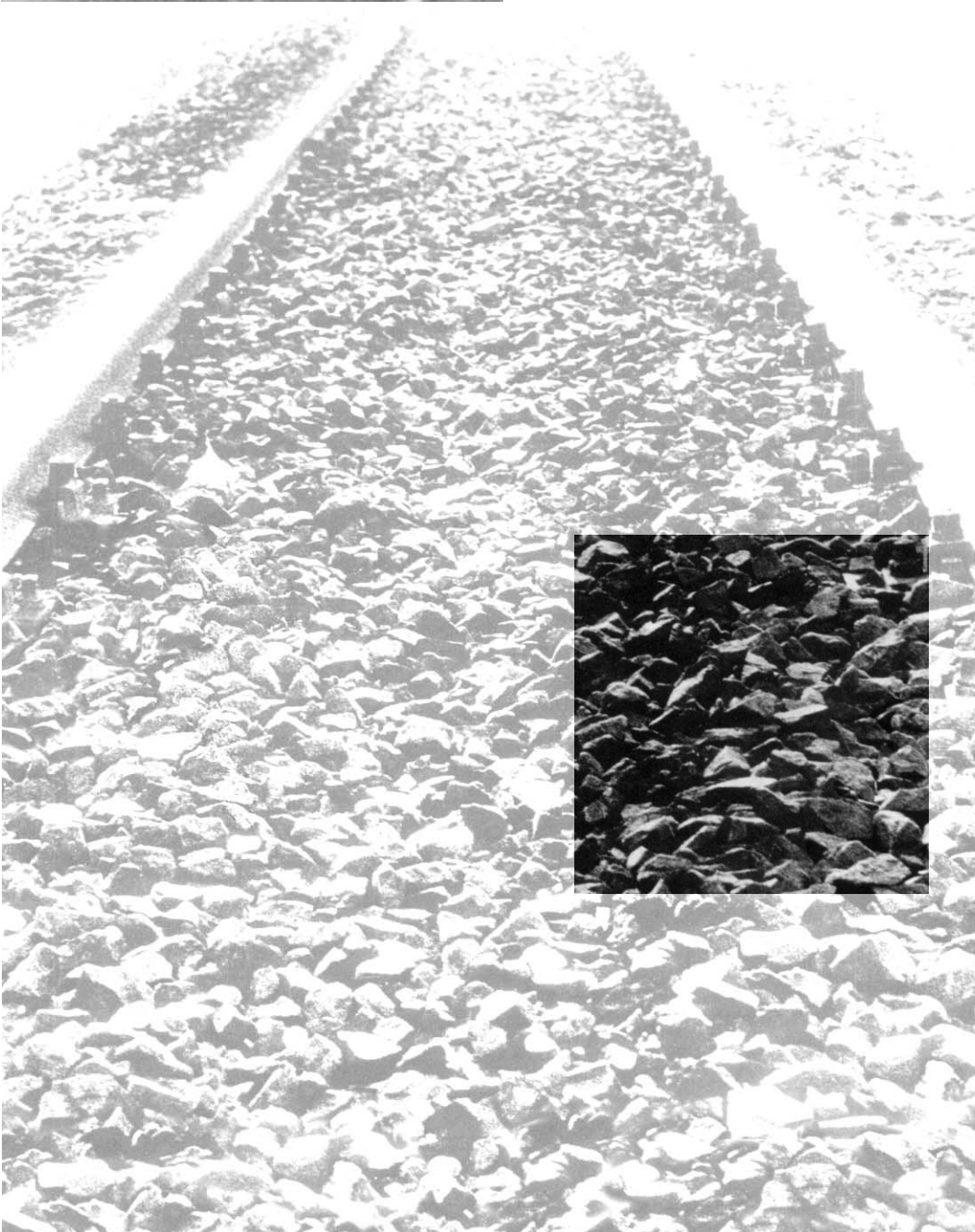
Krzyczą, lecz krzyczą nie z bólu.
Choć są samym bólem, który wyrósł
z naszej miłości.
Już wiedzą, że żyć muszą całe życie
i naszego strachu przenieść chorągiew.

Próbują się czegoś uczepić.
To może być deska ratunkowa
ich drewnianego łóżeczka
lub ciepła pierś matki,
albo ręka tego obcego
mówiącego w dziwnym języku.

Zaciskają z całych sił swe piąstki
w nadziei, że uchwycą coś, co je ocali.
Że będzie to poręcz na całe życie
lub miłość, która nigdy się nie skończy.
Ale przez ich delikatne palce przepływa
tylko promienne powietrze...

Promienne! Bo one, nasze dzieci,
choć o tym nie wiedzą, są światłem,
które wszystko może rozpalić
a na pewno powietrze wokół nas,
odwykłych od jasności na co dzień.

1995 r.



Nitka

parafrazując Anne Sexton

Mojej wielkiej miary miłość powiesiłem na nitce,
na nitce wielkiej miary uporcu.
Na nitce wiary.

Codziennie rano nitka łśni kroplami rosy.
A ja boję się, że to zbyt wielki ciężar,
że rosa nie łśni, ale wisi,

że zerwie ją byle jaki wiatr, podmuch, krzyk,
że moje słowa są zbyt głośne,
że naciągają zbyttnio nić,
że może zbyt ciężka jest waga mojej wiary.

Patrzę więc z boku, mrużę oczy,
bo też wzrok zbyt ostry może być,
drzę i drzenie powstrzymuję,
aby powietrze nie rozedrgało się
i nitki nie zerwało.

- - -

Otwieram powoli oczy.
Nie ma już na nitce rosy
a jednak błyszczący, łśni.
Nie wiem czym.
Może blaskiem wielkiej miary miłości...

Czy jednak i nitka o tym wie?

Sfinks, który mówi

Sfinks musi budzić grozę,
bo milczenie jest straszne człowiekowi i obce jego naturze.
I właśnie dlatego nie powiem, że budzisz we mnie strach,
jak Sfinks, bo jednak mówisz.
Bo twoje dłonie tryskają strumieniami czułości,
bo usta płyną nienasyceciem,
bo ciało twoje wydaje roje głosek
i rodzi wilgotność.

Niepokój mój budzą twoje słowa. Są niepewne,
niedokształcone, jakby nie nasycone,
jakby nie miały dobrego kontaktu
z twoimi nabrzmiętymi ustami.

Mówisz je czasami jak osoba niema,
lub raczej głucha, która uczyła się żmudnie kształtu ust
przy wymawianiu głosek okrągłych, płaskich, wybuchowych
a nauczyła się przede wszystkim zwartych,
no, może też zwarto-wybuchowych.

A jednak, bardzo mnie to dziwi,
nawet gdy tylko otwierasz usta do powiedzenia,
słyszę nie wyartykułowane dźwięki,
słyszę muzykę słysząc ledwie jeden dźwięk.
I wiem, i nie myślę się,
wiem - jednak brzmi harmonia.
To z twojego tak boleśnie zdejmującego suknie słowa!

Lecz czy nikt ciebie nie nauczył,
że słowa nie boją się słowa,
ciało nie boi się ciała
i że całość chce całości?

Lecz ja jestem okręt

, lecz ja jestem okręt. Nigdy
nie stoję. Zawsze, nawet na gładkiej
powierzchni oceanu, kołyszę się.
Stojąc w porcie płynę.

Mój żagiel zawsze, choćby zmyślonego powietrza
jest pełen, napręża się aby zdać egzamin
nawet przed niespodziewanymi sztormami. Pełen
łęku gotowy jest przyjąć uderzenie i je wytrzymać.

Fali jestem gotowy znieść największej atak,
potem wziąć kurs na najbliższą górę lodu,
ominąć ją i dopiero wtedy
wbicie się w oziębły kontynent mrozu.

Rozbić się nawet gotowy jestem okręt, ale
w czystym kryształach. Właśnie w czystym wzorze
chłodu, a nie w poddańczym szaleństwie
do którego przyzwyczały wiatry inne żagle.

Piszę zmrożony te słowa na krze,
którą trzymasz w dłoni - Pani! - przekonana,
że kra się topi; a topią się twe dłonie
ogrzone wygodą przystani.

Jasność ćmy

Czy widziałaś kiedyś śmierć ćmy?

Nie pytam, czy wiesz jak umierają ćmy.
Bo wiesz, wpadają do ognia.
Ale ja pytam ciebie, czy widziałaś tę śmierć.

Ja widziałem przed chwilą.
Uciekła ledwie szponom kota. Uwolniona! Pełna radości!
Wpadła wprost do lampy. Jak pięknie! Jak jasno! Jak
ciepło!

Uniósł się ponad lampą kurz. Moja miła, uniósł się
kurz.
I już.
Jeszcze w uszach brzmi mi trzepot skrzydeł.

Powiadasz, świata nie należy się bać.
Trzeba go kochać.
Unieść się potęgą miłości.

Jak na skrzydłach...

Moje długie ręce

Mam ogromnie długie ręce,
sięgam bez trudu ziemi,
nie schylając się.

A podnosząc je do góry,
dotykam porowatego nieba.

I co zrobić z takim rękoma?

Samotność

Edwinowi

Samotność jest jak pestka,
choć w środku mięsz,
na zewnątrz upiera się przy swej twardości.

Równina

Złota brama stoi zamknięta. Oddziela równinę.
Spoza bramy nie rozlega się wielki głos.
Nikt nie wymiata spod niemych wrót
tysięcy zerwanych paznokci.
Brama stoi nieporuszona,
wciąż nie skażonym blaskiem łśni.
Żaden rozpaczy krzyk
nawet nie ukruszył drzwi.
Każdego rana od nowa pod nimi budzisz się.

A na wygłaskanej błagalnymi dotykami powierzchni
coś jakby rusza i łuszczy się.
-To tylko odbicia baranków złotych i fioletowych świerków,
kotów w zielonych lakierkach,
nietoperzy w różowe i czarne paski
i potworów z ekspresowych fotografii.

Nie widzisz siebie, siebie kim jesteś,
poruszanego mocą niknącego w odbiciu sznurka.
A przecież powinienesz widzieć,
bo gdy stoisz przed tym złotym lustrem,
to za nim powinna iść złota twoja postać,
a jest tylko świecąca pustka.

I złote baranki, i różowe świerki,
i słowa, jak ważki, i mgły tęczowe,
i koty - oczywiście - pomarańczowe,

i wszystko jest mniej więcej do rymu,
do pary, powtórzone, podwojone,
a jednak nie rozmnożone.

A więc, gdzie jesteś ty w złotą bramę wpatrzony,
zdrewniały, gotowy spłonąć,
gdyby oddalone, odrzucone miało być twoje
zapatrzanie,
zerwana nitka złota wiążąca ciebie
z cieniem złotej ściany.

Z której dzięki mocy twego wzroku - i za zgodą
wrót
nieprzejrzystych a lśniących -
baranki złote jeden po drugim wychodzą
w twoich źrenicach się topiąc,
a na policzkach wyrastają pomarańczowe świerki,
z uszu wyfruwają nietoperze piski
i gniazda ptasie spadają z nieba
jak fałszywe pieniądze.

Wrota złote dają wiedzę o obrazach,
nie o rzeczach samych, dają tylko cienie cieni.
A zatem dla kogo jest tajemnica,
dla bramy, dla pustki, dla ciebie?
I po co te odbicia tych wielkoustnych myszy,
metalowych ptaków, bezstrunnych skrzypiec,
skąd te gumowe trąby i fruujące kwiaty?

Złota brama stoi.

I ty stoisz niemy. Pył złoty czujesz w ustach.
Oczy wywracasz do mózgu. Oślepiony chcesz
w oczy swoje popatrzeć źrenicami swoimi,
a nie złotymi promieniami lustra.

Mózg śmieje się. Oczy pękają.

Z gałek wylewa się kropla za kroplą
- nie krew, ale płyn złoty.

Otwierają się odrzwia.

Nie widzę już, ale wiem:

za nimi jest wielka równina,
słyszę złote baranki i znane dobrze głosy,
wiem, tam poprowadzą mnie widzące
wszystko moje ślepe stopy.

1991-1995

Nie mrok

Rośnie mi córka - rosną mi paznokcie.
Nie obetnę ich.

Otwieram okno - otwieram oczy.
Nie przeskoczę wzroku.

Dotykam siebie - osłania mnie ciemność.
Odkrywam ciało, tajemnicę i mrok.

- Podaj mi rękę tato - mówi córka,
kula bezcielesna
słońca.

I świeci.

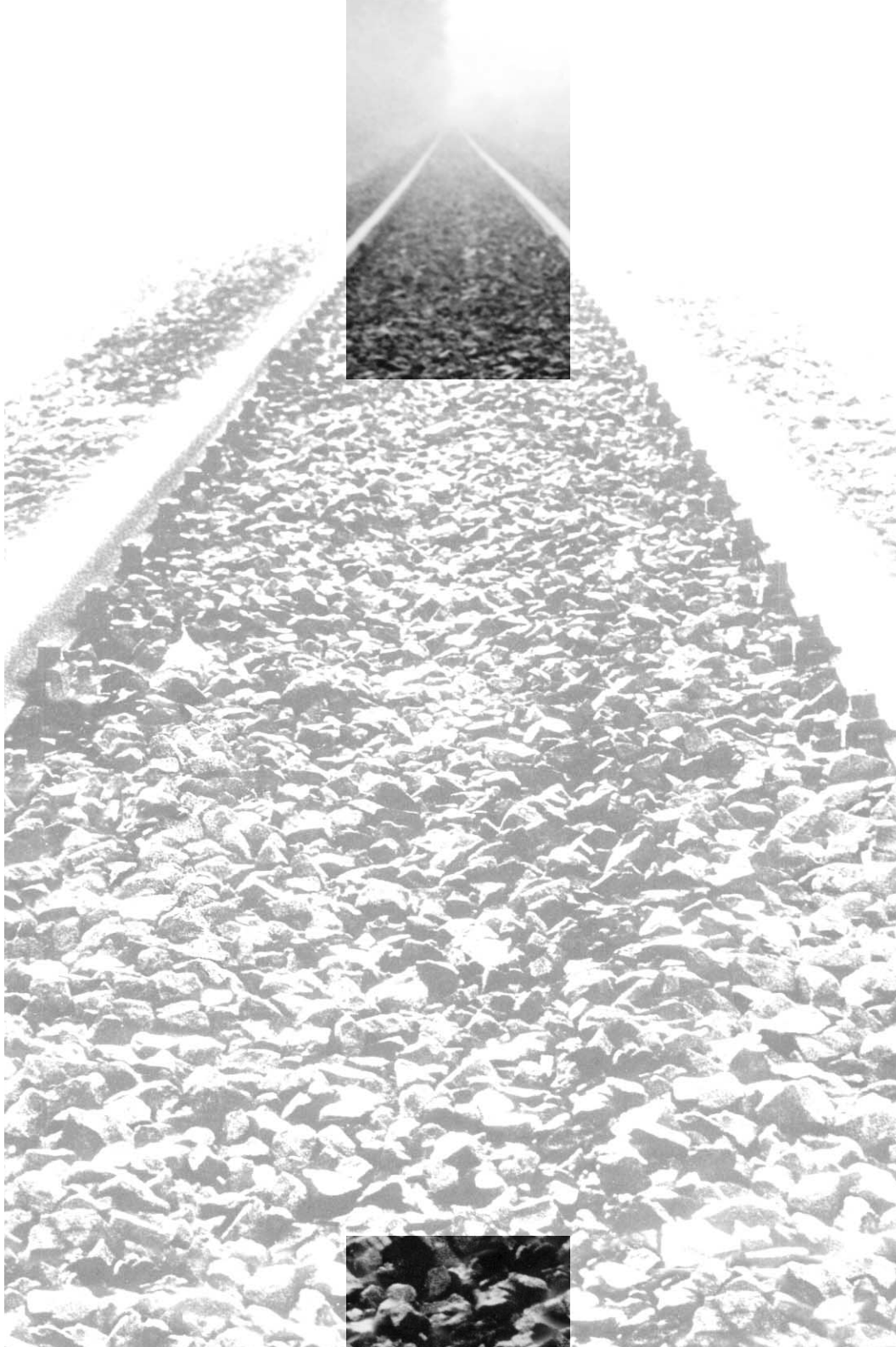
1995

Shoshannah

Mały Hiob ma na imię Róża.
I rzeczywiście
w ustach trzyma cierpliwie różę.

I choć go kłuje, nie przegryza
jej delikatnych kolców.

1995



Nie pytaj mnie o chorobę

Andrzejowi Ż.

Tylko proszę nie pytaj mnie o chorobę,
gdy piszę: umieram konsekwentnie i zdecydowanie.
Choroba nie ma nic do rzeczy
ze zdeptanymi lalkami, z brakiem gwiazd
na niebie, z kotami, którym ślepną żółte oczy.
Śmierć jest doskonała,
gdy milknie ostatni akord baśni,
jest doskonalsza jeszcze na ostrzu
ostrego noża - jest centymetr (lub milimetr,
to nie ma znaczenia) za linią horyzontu.
Jest w każdym pustym miejscu w tobie.

Boję się jej jak diabła,
jak złamania kolana,
jak nieodwzajemnionej miłości,
jak pustej ramy, która pomieści wszystko.

Nie pytaj mnie o chorobę.
Choroba to sprawa cierpienia,
ból w kościach,

niewyraźnego druku w niezwykle interesującym tekście.

Choroba to jasna szczelina, którą można zaszyć,
to kreska ołówkiem - można ją czasami zetrzeć.
To być może pewien p l a n śmierci.

Ale ja piszę wyraźnie:
Spadam z nieba,
odpada mi głowa,
łamią mi się włosy.
Słyszę ciszę.

Nie pytaj mnie i nie odgaduj
jaka to konwencja, jaki styl.
Czym mój list by był,
gdyby dodać mu trochę soli, gdyby
nie w kopercie, ale w skrzyni przyszedł.
Jakie znaczenia mają inkrustowane napisy.
Nie łudź się, że napisał to on...
Osoba Trzecia, Liczba Pojedyncza.
Może tak właśnie wita cię miecz.

Mój przyjacielu, czuję się dobrze, na zdrowie nie narzekam.
Właśnie zbliża się wiosna w przyrodzie. Jest pięknie,
tak że nie musi interweniować bóg. Wszystko doskonale się układa.
Elektrony płyną we właściwym kierunku.

Piwo pieni się, zdjęcia żółkną, żony jak dojrzałe śliwki spadają.
Jamniki wydłużają się.

Ale otrzymałem od ciebie list.
O co ci chodzi, gdy prosisz:

Tylko o chorobę nie pytaj mnie.

Do mojej córki chodzącej ulicami Cincinnati

Rośniesz tam, gdy pada śnieg,
gdy deszcz, gdy za oknami słychać
przeciągły zgrzyt hamulców, gdy
dzień w dzień słońce zachodzi
aby znowu wzejść, gdy obcinasz włosy,
gdy wydłużasz sukienki aby zatrzymać
wynoszące ponad chmury nogi, gdy

list otrzymujesz w dziwnej angielszczyźnie,
gdy tłumaczysz, że to o miłości,
gdy Bóg znaczy Lord, gdy znaczy Pan, gdy
God rozumiesz ostatecznie znaczy On.

Rośniesz jak zielona wiosna,
jak wieża Babel powiększasz się
i czujesz, że pomiędzy jawą a snem jest przepaść,
że nie jest to most co łączy rozdzielone,
że dystans pomniejszyć tylko może miłość albo śmierć.

Rośniesz (po pewnym czasie inaczej nazwiesz to)
i przybywa ci tkanek i uporządkowanych myśli,
stajesz się jak unoszący ramię w górę stalowy dźwig,
nadziwić się nie możesz, ile unieść potrafi
ten żuraw, żywy mechanizm, który nie umie
przystanąć, gdy nawet już wie,
że podnosi za dużo.

Rośniesz, jeszcze nie wiesz,
że miłość to ciężar, który ciebie też poniesie
i też złamie, odwiedzie od śmierci
i do niej zbliży,
ciebie niedostępną dla mnie.

Widziałem dzisiaj spadającą gwiazdę, widziałem dzisiaj rozdartą
pojedynczą trawkę, widziałem czerwone oko piekła, widziałem
dom po pożarze dnia trzeciego, widziałem moją kotkę
- spadała z balkonu, widziałem moją córkę modlącą
się za ojca, kulę ziemską widziałem nade mną,
kałużę krwi wytoczoną z cienia, widziałem
balię pełną brudów, ropuchę drapiącą się
po ścianie słoja, urwaną w połowie
błyskawicę, tron bez króla
i miękkie paznokcie,
widziałem dom
bez okien

i nagle zobaczyłem twoje oczy

czy

to twoja dłoń
przymknęła mi powieki, dłoń
jak pomost, jak ożywczy akwedukt, jak
cierpliwy promień słońca, jak upór serca
walczącego do znużenia, jak miękki powiew, co
dolinę uspokaja od końca do końca, jak tysięcznie
posplatana lina z niekończących się nitek, jak matka,
jak deszcz, który już nie pada a tylko wilgotnością jest,
jak migotliwe światło w czerwcową noc nad Gdańskiem?

Jak otworzyć dłoń

Miałam sen,
widziałam ręce, bardzo cierpliwe ręce.
Bardzo się bały a jednak szyły
- może długi kaftan w którym trzeba przejść śmierć
a może najzwyczajniejszy wiersz.

To był na pewno bardzo długi wiersz,
pełen niezrozumiałych głosek i słów,
pełen węzełków.
A każdy supetek łączył niepojęty
kolor i niepojęty sens.
Gdy ręce zwalniały na moment
pojawiał się obraz.

To co pamiętam z tego snu,
to początek, krótki jak przerwany gest,
który się skończył jak nóż
- w dłoni pozostał trzonek.

Mówisz: Jestem Miriam Akawia,
urodzona w Krakowie, mówisz: Jestem.
Zdziwiona patrzysz, gdy pytają: A naprawdę skąd?
Mówisz i boisz się,
prawie łkasz.

A jednak trzymasz noża rękojeść,
nie chcesz wyrzucić go.

Nagle dzwonek urywa sen:
Stoisz daleko, ja zaspany podnoszę telefon.
Słyszę jak szeleszczą twoje wspomnienia.
Coś podrywa mnie, każe się obudzić.

Już wiem, w tym śnie było ostrzeżenie,
że przetrwać to nie znaczy ominąć nóż,
ale rękę, która zadaje cios,
że choć to straszne,
to jednak
nasza dłoń trzyma bezmyślne ostrze.

Ale jeśli jednak Bóg?
To jak skończyć ten sen,
jak otworzyć dłoń.

A może trzeba dokończyć dzieło
cierpliwych rąk: długi kaftan, a może wiersz,
i wreszcie wydostać się ze snu,
pozostać taką jaką się jest:
Ja, Miriam Akawia,
urodzona w Krakowie.
Szalom.

Ta kobieta ma na imię Gdańsk

Obok leży gazeta, osobisty dziennik
a też różowy rachunek pokreślony
czarnymi literami, jakby kartka była popękana,
przykrywa stare zdjęcie, może dagerotyp.
Do kompletu dwie ręce
leżą delikatnie osiadłe na stole
a jednak gotowe zaraz odlecieć
jak miejskie gołębie.

Trwa rok 1995,
rozwijają się kwiecień,
krótkie spodenki wiosny
ledwie zazieleniają trawniki,
białe rękawy koszuli opadają na pięści historii
- otwierają się ręce
wilgotne, ciepłe z odbitym wzorcem paznokci.
Facetowi z Zaspasy
mija czterdzieści pięć lat.

Jest młody - tak mówi młodsza od niego kobieta,
która śpi na zimowych białych dachach
i której czerwień ust znajdziesz latem
na obrazie z lotu ptaka malowanym,
pełnym płonących dachówek.
Jest młody, mówi nie do zdarcia wybraźnia,
przywołując ledwie co
przeszły przyszły czas.

Przez otwarty balkon odbywa się marsz.
Idą do drzwi,
aby wyjść, aby znowu przyjść,
aby znowu zamknąć w cykl przestrzeń:
drzwi, balkon, cmentarz, drzwi...

Niosą sterty maszynopisów.
Nie można oderwać spinaczy,
bo kartki zaczynają krwawić
zostawiając dziwne znaki
krzyży, czołgów, miłości, śmierci..
Nie wiadomo co znaczą, bo to nie słowa
ale właśnie znaki.

Nie obrazy pełne jasnych i oczywistych
kresek, walorów, cieni i zagięć,
spięć pomiędzy nastrojem a ręką twórcy.
Nie obrazy, które jeśli stanąć daleko pęcznieją,
ale gdy ręka blisko trzyma,
są po prostu zapisem koszmaru i trwogi.

Śpiewa córka Cohena,
kołacze miejska (trójmiejska) kolejka.
Miłosz i Sexton w kuchni
wyposażonej w meble "Gdańsk"
leżą obok siebie upchani.
Zduszeni, kartka po kartce
łapią oddech.
Ratuje ich syk wiatru
- od czasu do czasu wdziera się

przez nieszczelne okno.
Wiersze przemieniają się w kolorowe
balony lub bomby.

Z kuchni przez okno
raz po raz wyfruwa zielona kartka,
czernieje zaraz za oknem.
Jest chłód i wilgoć.
Słysząc groźny pomruk.
Z parapetu spada
cieniutki płatek węgla.

Tak wiem, Anne Sexton nie żyje od lat,
Miłosz za Atlantykiem słucha swych pękających
brwi.
Anne może nigdy nie słyszała o tym mieście,
Miłoszowi pewnie Gdańsk kojarzył się z Sopotem.
A jednak oswoiłem ich tu.

Mam za sobą ciało
i gorączkę wewnętrzną, i kota,
konstelacje roślin doniczkowych,
swój dom,
długopis i papier
(ten różowy na czarno popękany rachunek),
mam cichy oddech dzieci,
i miejsca, gdzie bezpiecznie przychodzą sny,
lecz przede wszystkim za mną stoi
Miasto.

A jednak boję się,
że to miejsce, pełne gwaru
na siostrzanym szlaku północnych miast,
na zawsze pozostanie samotne,
nawet gdy po raz ostatni zapłonie
pałac i te pisane teraz przeze mnie litery.

Lękam się, że miasto zginąć musi
niosąc przez wieki i przez tysiące ludzi
żar nie do ugaszenia buntu,
wiecznej pogardy, wiecznej dumy
i zapali się kiedyś wielka pochodnia
wieży Kościoła Mariackiego,
zapalą się podwójne litery
szyn kolejki podmiejskiej,
na sto godzin stanie się czerwone
powietrze.

I wszystko szczeźnie,
obraz w dagerotypie zszarzeje,
potem się dagerotyp rozwieje
a ślad po nim zniknie.

Mnie już wtedy nie będzie.
Mija rok 1995.
Mam czterdzieści pięć lat.
Obok na białej pustyni
śpi i lekko chrapie młoda kobieta.
Ma długie nogi jak Gdańsk,

pełna jest ciepła,
jeszcze na jej pełnym obiecań wzgórk
gołąb z gołębicą toczą spór,
ramiona rozlewają się w portowe kanały,
palce sięgają morza
i choć jest gorąca, jeszcze nie płonie.

Kot patrzy na nią i na mnie.
Pyta, co ona niesie - życie czy śmierć.
Co odpowiedzieć, jeśli w tym obrazie
widzę dwa znaki zapytania:
datę i podpis.
Nie widzę koloru wieczności.

A o wieczność pyta mnie Jim Milillo
z Cincinnati,
Anabelle tańcząca mazurka w Ohio,
Adzik Zawistowski piszący romans kryminalny,
Jurek Limon piszący od nowa historię,
Niemiec z Turcji, Żydówka z Przymorza,
Katia Szenderowicz - młoda dziewczyna
jako staruszka wracająca z zesłania.
Pyta moja córka urodzona na Kartuskiej,
schizofrenik - ogrodnik z Polanki,
nieufna Krystyna ciekawa,
czy piszę wiersze o Bogu.

Pyta śpiąca bohaterka tego wiersza,
krzyczy i śmieje się, i przerywa
delikatną tkankę wersów, i wychodzi

z tekstu - właśnie jak to miasto
realne i niewidzialne -
- ciepła, pachnąca a jak duch przejrzysta.
O wieczność pytają mnie turyści,
o wieczność do przodu i tyłu,
wszyscy ci co stają przed lub za
starym domem szukając wróżby.

Ja im nie odpowiem, bo nie wiem,
bo nie da się ułożyć prognozy,
gdy obok ciebie leży gazeta,
róża, dagerotyp, parę przyjacielskich
oddechów, wiatr znad zatoki,
długopis, moja ręka i ta kobieta otwarta
jak najważniejsza ulica Gdańska
dla każdego, kto umie w niepojęte wejść
bez strachu
i stać się szarym gołębiem miłości,
małą niespostrzegalną szparą
pomiędzy niepoliczonymi szczelinami miasta.

1990-1995

Pragnienia

Ponieważ jesteś nikim
możesz prosić każdego
aby był kimś.

Ponieważ jesteś kimkolwiek
możesz prosić kogokolwiek
o wszystko.

Ponieważ jesteś stworzeniem
umierającym
możesz marzyć o życiu.

Ponieważ
w wąskiej szczelinie życia
umierasz
masz prawo do buntu.

Ponieważ jesteś łaknieniem
bądź ostrożny
i niech nie oszuka cię głód.

Styczeń

Jest styczeń aż zamarzły serca.
Za oknem skuła się cisza.
Księżyc nadął policzki, jakby chciał zagrać
na trąbce pobudkę.

Ale powietrze jest rzadkie,
nie poniesie dźwięku.
Nie słysząc deszczu szeptanej rozmowy,
do pokoju wdzierają się macki mrozu.
Zamarzają mi ręce.

Nie rozgrzewam ich - znam już to ciepło.
Po kolei łamię palec po palcu.
Chciałbym raz jeszcze rzucić kośćmi
- moimi nieznaczonymi kośćmi palców -
i zobaczyć, jakiż to ułoży się wymowny wzór.

1996

Powietrze

Powietrze przede wszystkim jest.
Gdy powietrza nie ma, to powietrze nie jest,
ale jest nawet gdy stoi,
gdy ledwie drga,
albo kiedy nie myślisz o tym, czy powietrze jest.

Powietrze jest wobec nas obojętne,
choćbyśmy nie wiem jak łapczywie je łykali,
mocno sapali lub dmuchali w balon.

Bo powietrze przede wszystkim jest,
jeśli oczywiście akurat nie przestało być.
Nawet jeśli zebrało się tylko
w jednym kącie twojego pokoju,
akurat z drugiej strony.

Nawet, gdy się dławisz, dusisz
a w drugim kącie pokoju cicho mruczy
twój kot, pełen powietrza.

1996

Małe słowo

Właśnie niosłem do ciebie małe słowo,
ale wypadło mi z ręki.

Teraz schylony szukam go,
ale wokół lśnią tylko małe korale,
nieokrągłe, kanciaste, bez dziurki
na nitkę.

Czy uzbieram je choćby na tyle,
abyś domyśliła się, że chciałem
ci coś powiedzieć
- właśnie to zgubione słowo?

1996

Bursztyn

Myślę słowem
aby wzmocnić myśl aż
do wybuchu dźwiękiem.

Z ust wytacza mi się
porowaty bursztyn.

Bierzesz go do ręki
i mówisz:
jaki to lekki kamień.

1996

Pierścionek

Jest już od połowy nocy mrok,
to wczesna najpóźniejsza pora.
Wychyłam się do przodu,
krok robię głęboki w noc.

Za oknem płyniesz ty,
przezroczysta, lekka i owinięta w koc.
Ręce masz gorące,
na palcach pierścionka widzę błysk.

Chwytam cię za rąbek szaty,
lecz koc rozpływa mi się w palcach.
Spod spodu wylatują stwory
Chimery? Erynie?
Szybko rozbiegają się.
W uszach pozostaje mi tylko ich krzyk.

Lecz coś w mroku widzę, jak lśni
u dołu, na czarnej ziemi, tam gdzie rabaty
upadł twój pierścień.

Tym razem nie zauważyły go sfory.

1996

Jabłko

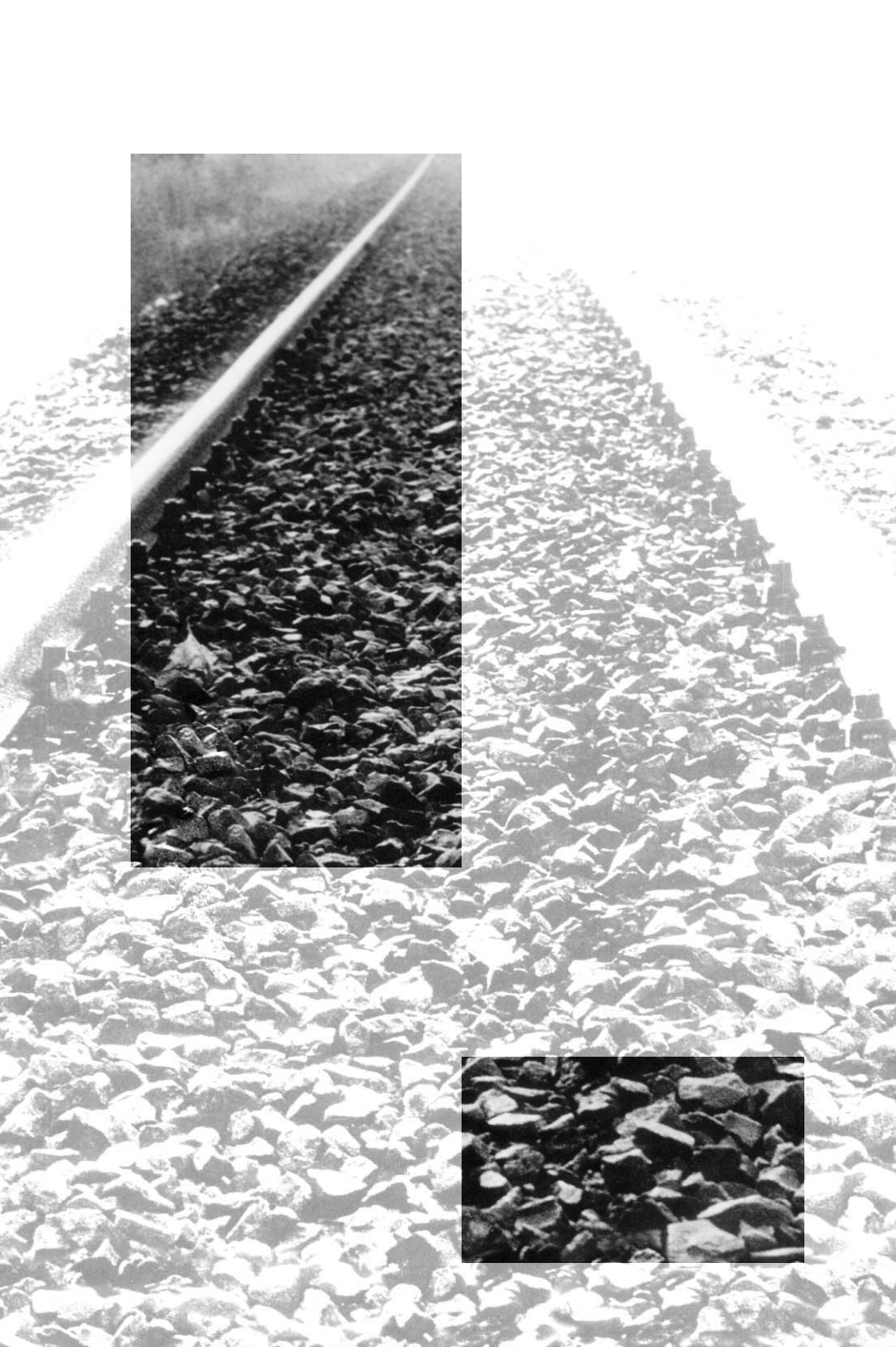
Pytasz dlaczego wiersze są o śmierci?
Mogłabyś zapytać dlaczego o miłości.
Obieram jabłko, długa już jest
sprężynka zielonej skóry,
układa się w kręgi na kartce papieru.

Dlaczego o wieczność pytasz,
dlaczego z tak daleka koniec widzisz?
Nie przekrawam jabłka na pół,
do środka owocu powoli dochodzę.

Nie odpowiem ci na twoje pytania,
nie dlatego, że nie wiem,
ale dlatego, że nie mam wątpliwości
- nóż mój kroi jabłko konsekwentnie,
we właściwym kierunku
i w końcu przetnie:

małe, gorzkie pestki miłości.

1996



Anne Sexton z pomarańczą

Anne Sexton siedzi w fotelu,
ma podkurczone nogi,
usta zaciśnięte myślą,
w rękach trzyma nadgryzioną pomarańczę.

Nagle spogląda na mnie i pyta:
Dlaczego nie czytasz jakiejś książki?
Myślałam, że kulturalny człowiek
każdą wolną chwilę spędza na lekturze.

Usta jej ponownie się zaciskają.
Po brodzie spływa kropelka soku.
Okrywa się szczelniej kocem
i sama odpowiada na postawione pytanie.

Nigdy nie czytałam książek,
nigdy nie byłam kulturalna,
książki zjadałam stronę po stronie
a papier stawał mi w gardle.

Plułam papierem, słowami, sylabami,
wymiotowałam nieprzeżytą tekturą okładek,
wpadałam w ekstazę myśląc,
że dusi, dławi, ciśnie mi się w gardle prawda.

Aż raz ugryzłam pewien owoc,
kwaśno-słodką nieobraną pomarańczę.
Wściekła wgryzałam się w jej wnętrze
i nagle poczułam gorzkie kamyczki.

I wtedy zrozumiałam: W książkach nie ma pestek
i choć szukałam przede wszystkim nasienia,
ze stron rodziły się tylko nowe strony,
a papier i tektura nie miały ani krzty wilgoci.

Teraz, od tamtego czasu, czytam tylko pomarańcze.
I nie stają mi w gardle słowa i sylaby.
Siedzę sobie na fotelu, mój kochany
i wybaczam ci, że nie czytasz książki.

1996

Wędrowiec z Krainy Do

Wędruję.

Pytają po co wędrujesz? Dokąd zmierzasz?

A ja im nie odpowiadam i idę dalej.

Zbyt długo trwa moja podróż, abym mógł się wytłumaczyć.

Mijam domy pełne dziecięcego jazgotu,

jadłodajnie, hulaszcze karczmy i burdele.

Idę i trzymam w dłoniach tobołek.

Zatrzymują mnie kusząc poczęstunkiem,

kieliszkiem wódki, świętem, noclegiem.

Ale ja idę.

Trzymam w dłoniach tobołek.

I oto razu pewnego spotkałem starca.

Spojrzał bladoniebieskimi oczyma

i spytał nie dokąd zmierzam,

ale co mam w tobołku,

który z takim uporem trzymam w rękach.

Przystanąłem, bo zaskoczony uświadomiłem sobie,

że nie pamiętam, co mam w mym zawiniątku.

Szczęśliwie jednak przypomniało mi się,

że w tobołku niosę miłość.

- Miłość? - zapytał starzec.

- To niewiele jak na długą drogę.

Wtedy poczułem się

jak cień na ścianie z koszem malin,

których nigdy nie da się zasmakować.

Od tego czasu każdy krok stał się miłą,
a każdy zakręt zaczajoną niewiadomą,
i już nie jestem pewny, co mam w swym tobołku,
czy na pewno miłość, a może tylko garść
zasuszonych nasion dzikiego zboża.
Mój ruchomy dom.

1996

Kropla

Agnieszce

Jest czerwiec. Za oknem
lśni na liściu złota kropla.
- Wyschnie albo spadnie,
szepczą do siebie kwiaty dali.
Mówią cicho,
aby kropla wybrała swobodnie.

Ja pomiędzy kwiatami milczę,
bo wiem, jak krótki jest żywot
wilgotnej kapki
- lśni tylko tyle, ile jej się wyśni.

1996

Skąd ten ptak nocą gra

Jest noc, pierwsza po północy.
Za oknem mrok, mży deszcz.
Jest już późna pora, prawie śpię.
Prawie, bo za oknem od kilku chwil
słyszę jak krzyczy ptak. Nie nietoperz.
Nie duch, nie zjawa. Zwykły ptak.

Nie śpi - jak ja.
Słuchamy się wzajemnie.
On mojego spłoszonego snu
a ja jak on wygrywa swój strach.
Przykrywam się kocem po głowę.
Może ptak wreszcie ścichnie,
może doleci do niego mój lęk,
gdy wreszcie zasnę.

A zasnę, gdy jego głos zgaśnie.

1996

Chichot mojej publiczności

Mijają pory roku,
mija ból zęba,
światło ciemnieje,
spalam kalorie.

A poeta, który siedzi we mnie
wciąż goni swoje ręce,
zadyszany wykrzykuje
beżładne modlitwy.

Mijają zimy,
przekwitają kwiaty,
kałuże wysychają po deszczu,
starzeje się we mnie poeta.

Ale nawet umarły
wciąż oczy utkwione ma w uciekających rękach,
widać je jeszcze za horyzontem,
na krańcu mojego ciała.

Mijają miłości,
do siebie, do ciebie, do niej,
skóra na dłoniach zanika
a może nawet palców kostki.

Przede mną ściana lustra.
Za nią wszystko jest podobnie skończone.
Czytam wspomnienia bostońskiej poetki
i odbicia nie zaszłych zdarzeń.

Słyszę niewyraźne głosy,
narastają i puchną w lustrze.
To chichot mojej widowni
- tysiąca moich twarzy,
które już zanikły, być może ledwie
wczoraj, choć jakby dzisiaj, przed chwilą
a na zawsze, na nigdy po wiek, poza pamięć...

Z piętra balkonu patrzę na grę,
biję brawo, wołam bis,
bez żalu żegnam scenę, kulisy, kurtynę,
teatr cały...

I tę niezbyt szczęśliwie dobraną
widowni obsadę.

1996

Śmierć Amazonki

Tego sobie wyobrazić nie można
a jednak przez ten obraz muszę przejść.
Wejść w absolutną straszną czerń,
stać się światłem, które wyjaśni tajemnicę.
Oświetlić muszę siebie i obraz muszę
aby wyjść z ciemni,
aby obraz zajaśniał kolorem.

Nigdy nie wiedziałem, że jest we mnie tyle pamięci,

że zastygło we mnie tyle wapna, węgla, rudej siarki,
że na zawsze odcisnęły się tajemnicze znaki
jaszczurczej, małpiej i człowieczej myśli,
że tyle śladów żywej skośnookiej śmierci,
która wcale nie błyska okiem radośnie,
gdy żniw przychodzi okres.

Nie wiedziałem, że jestem twardą skórą klonu
a jednak czuję najdelikatniejsze drgania
zielonych listków będących tam u szczytu.

Nagle poruszony, choć jakże zastygły,
oderwał się mały łupek krzemu z mojej góry
i zobaczyłem kobietę - dziewczynkę - może Amazonkę
zupełnie umarłą - umarłą na pewno.
Nie mogłem przypuszczać, że wiedza
przyjdzie niepotrzebnie i będzie jak sucha skóra,
jak wiór dawno już ściętego drzewa;

że kora będzie słyszeć a młody pęd
będzie zagłuszać własną piosnkę,
że ogarnie mnie wstyd, gdy przypadkiem
dotknie mnie delikatny liść;
Wstyd będzie mi, że ja wiem a on nie,
że jest porażony, skazany na śmierć
i spadać tylko może dodając się z innymi,
mnożąc pokarm dla korzeni,
których początkiem jest.

Ten liść spadał bardzo wolno.
Tak spadać można było tylko z przeszłości.
Słyszałem jak szeleści, jak krzyczy, jak opada z sił,
jak zdziera z siebie zielen i...
nic uczynić nie mogłem.
Nie mogłem powiedzieć liściu jesteś liściem,
nie mogłem otworzyć mu skrzydeł,
nie mogłem nawet obciąć ich.
Ledwie więc tylko uchyliłem się,
może lekko odetchnąłem, aby uspokoić liść,
że wiatr jest, że powietrze jest,
że nie zabraknie tlenu ani azotu
i podziwu dla tego, co podziwiane winno być.

A ona, choć mijały ery i epoki,
choć na nowo powstawały skały,
nic nie robiła, jedynie piękne gesty.
Jej krzemowe kształty nie traciły treści,
była pełna barw i jednocześnie jednobarwna
- chyba w odcieniach wody.

Tak była czysta i niebieska.
Patrzałem na nią jak na czas przyszły,
który nigdy nie istnieje, jeśli wcześniej
nie okiełznasz czasu przeszłego.

Próbowałem pieśni.
Otworzyłem usta, lecz głos wydobyłem
niedosiężny dla skamieniałego ucha.
Próbowałem światła,
lecz źrenice odbijały a nie pochłaniały barwy.
Próbowałem być gdzieś w środku,
tak jak jest niby czas terażniejszy,
ale takiego czasu nie było,
choć był tam pewien ruch,
a też kolory i pomiędzy nimi tajne związki,
a może nawet były tam zwierzęta.

Byłem gotowy zapaść się w przepaść bezczasu
a jednak nie mogłem.
Wezwałem konie pełne piany w chrapach,
koty, jeże, dzikie kojoty, najbardziej złośliwe mrówki.
Sam starałem się przyoblec w kolczastą skórę,
stać się kamienistą górą, spłonąć czystym ogniem,
wodą popłynąć i nie patrzeć wstecz,
gotów byłem pozostać w piekle, albo przejść je.

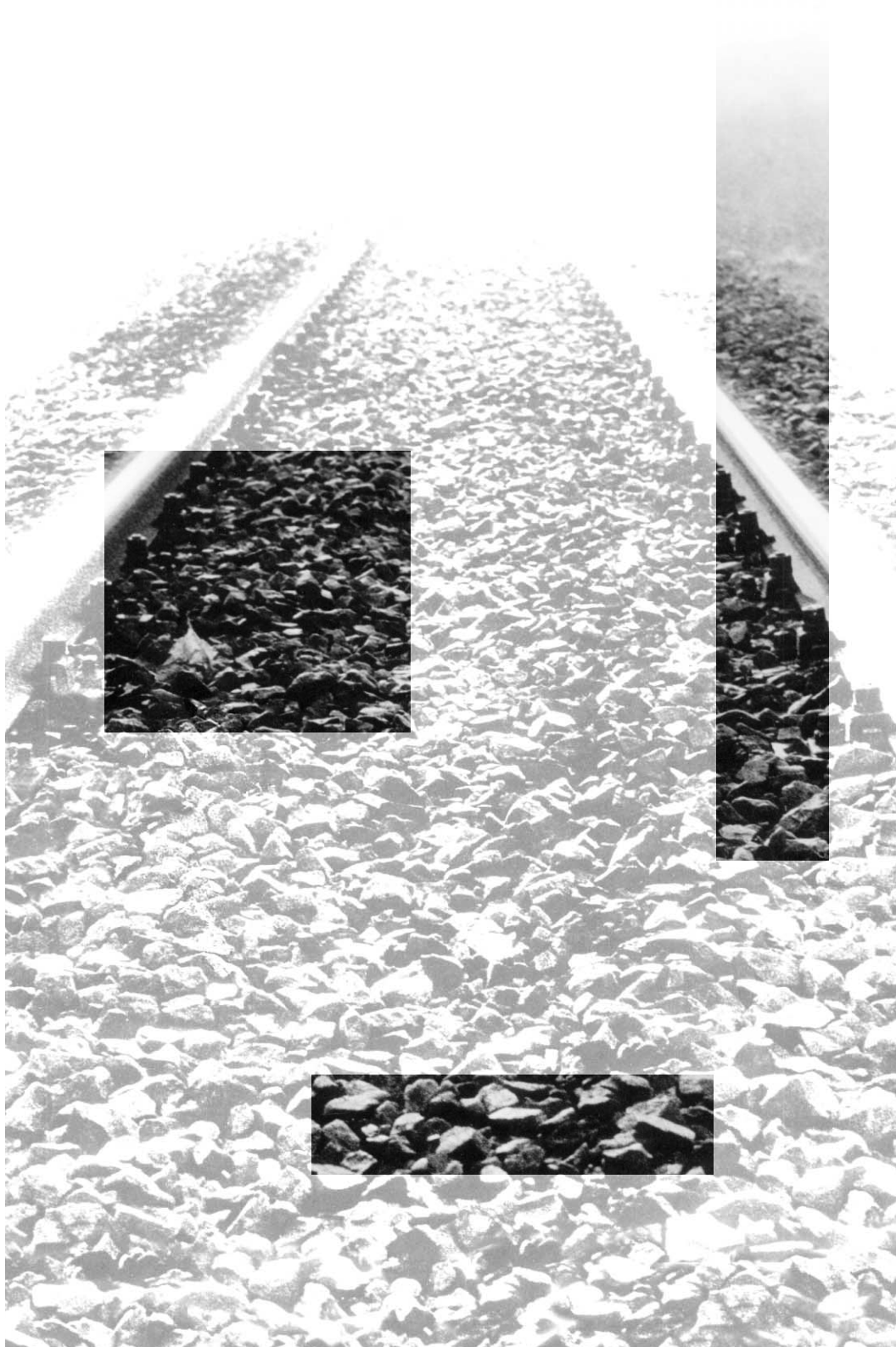
Naprawdę nie mogłem pojąć, że ona umarła,
nim narodziła się; że choć jest pełna ruchów i gestów,
jest nieżywa.
Że tylko z pieśniarza jest, który w czerń absolutną wszedł

aby oświetlić siebie i obraz,
aby wyjść z ciemni, aby obraz zajaśniał kolorem.

(tu się kończy zasadniczy tekst)

Wyszła z krzemienia osłabiona,
wiotka, blada, jak może być tylko zmarła.
Usiadła na ławeczce łódki, wzięła w ręce wiosło,
zanurzyła w falę
a woda zatoki popłynęła ku mnie bezgłośnie.
Najpierw zajęła mi stopy.
Potem kolana, biodra, pępek,
oblała chłodem mostek.
Okolo ust bardzo się bałem,
potem już jak sama woda popłynąłem za łodzią.
Wiedziałem, że ona jest w łodzi
i że robi się coraz jaśniej.

Wtedy dopiero zobaczyłem cały obraz.



SPIS TREŚCI

Nasze dzieci _____	9
Nitka _____	13
Sfinks, który mówi _____	14
Lecz ja jestem okręt _____	16
Jasność ćmy _____	17
Moje długie ręce _____	18
Samotność _____	19
Równina _____	20
Nie mrok _____	23
Shoshannah _____	24
Nie pytaj mnie o chorobę _____	27
Do mojej córki chodzącej ulicami Cincinnati _____	29
xxx ("Widziałem dzisiaj spadającą gwiazdę...") _____	31
Jak otworzyć dłoń _____	32
Ta kobieta ma na imię Gdańsk _____	34
Pragnienia _____	40
Styczeń _____	41
Powietrze _____	42
Małe słowo _____	43
Bursztyn _____	44
Pierścionek _____	45
Jabłko _____	46
Anne Sexton z pomarańczą _____	49
Wędrowiec z Krainy Do _____	51
Kropla _____	53
Skąd ten ptak gra _____	54
Chichot mojej publiczności _____	55
Śmierć Amazonki _____	57